№ 12. Warszawa, dnia 12 (24) Marca 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60 kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

POEZYE
MARYI KONOPNICKIEJ.

Serya III.

(Dokończenie.)

Ale Lenartowicz znał lud taki, jakim on był przed czterdziestu laty, znał go wybornie i kochał szczerze.

A jeżeli idealizował nawet często, taką: „Wiochnę", „Dwie zorze" lub „Kasieńkę-Pannę"; jeżeli sieroteńce jego wędrownej

Choć się zdało, nic nie trzeba
Za górami, za cudzemi;
Tylko chciałby krzynkę nieba,
I wietrzyka z swojej ziemi,

jeżeli słowem, ten prawdziwy poeta ludu przystrajał go w barwiste i wonne własnego natchnienia kwiaty, to czuć było jednak, czytając te ludowe obrazki czy piosenki, że tworzył je poeta rozkochany w ludzie tak silnie, tak gorąco, że mu z pod pióra, jak z pod serca, takie właśnie piosnki i obrazki, wyrastały.

Zresztą, lud wiejski za czasów Lenartowicza, nie był jeszcze usamowolniony, godziło się więc a nawet należało, podnosić wówczas jego przymioty, idealizować wzięte zeń postacie, aby obrazem jego stanu wzruszyć serca i zaniepokoić sumienia tych, którzy taką dolę młodszej braci swojej odczuć i poprawić byli powinni.

Oprócz więc naturalnej dla ludu miłości, Lenartowicz mógł mieć i miał istotnie, poczucie obowiązku w piórze swojem, ilekroć je skierował w tę stronę.

Dziś, gdy ten lud wiejski, przestał być nędzarzem i niewolnikiem, gdy dola jego godna jest raczej zazdrości niż pożałowania, ze strony tych, którzy mu niegdyś panowali, trudno uwierzyć, aby się pani Konopnicka mogła szczerze, bez afektacyi, rozczulać nad jego położeniem, lub też srożyć się na tych, którzy niegdyś możni i władni, dziś pracować muszą ciężko na pozostałych szmatach praojczystej ziemi, co im się z pod stóp usuwa...

A jednak, po tej wycieczce podjętej przeciwko ludowym, nie poczuciom lecz intencyom, p. Konopnickiej, musimy cieszyć się, że utalentowana autorka wyrobiła swe pióro i w tym kierunku, że i w tej formie pisać wdzięcznie umie. Gdyby nie to albowiem, poezya polska nie miałaby dziś może w swym skarbcu takiego czystej wody brylantu, jakim jest poemat „Do granicy", zamieszczony w tej trzeciej seryi choć znany już dawniej z konkursu Tygodnika Illustrowanego.

Jeszcze jeden zarzut, a raczej wymówkę tylko musimy zrobić pani Konopnickiej, z powodu ślicznego zresztą, formą a głębokiego myślą wiersza, jaki napisała, stojąc przed obrazem czeskiego malarza Brzeziczka i patrząc na heroiczną postać Jana Hussa.

Otóż, w tym wierszu a raczej poemacie z dwóch połów złożonym, poetka poglądając duchem na heroiczne dzieje Hussa, na tragiczny los jego i zestawiając je z dziejami i z duchem dzisiejszego społeczeństwa, może własnego nawet, urąga temu ostatniemu, z gryzącą ironią...

Podnosząc wreszcie, zapadłą już w przeszłość epokę, z której mistrz pędzla zaczerpnął przedmiot do swego obrazu, zwraca się na raz, do żyjącego dziś społeczeństwa i woła:

. . . . nie chciejcie się trwożyć!
Dziś Europa już nie jest tak dzika,
Możecie odejść i spać się położyć,
Choćby stos gorzał—zkąd wziąć męczenika?

Dziwna zaiste! jak myśl zaprawna, z góry już postawioną a przez chwilowy pessymizm ducha wyrodzoną tendencyą, może opętać umysł nawet dzielny, zaślepić pogląd bystry!

Jakim sposobem stało się, że poetka tej miary, że myślicielka i obserwatorka głębsza, zapatrzona w obraz z odległej epoki, nie dostrzega przechodzących dokoła niej tłumów i nie słyszy gdy one mówią: Morituri te salutant?

Bądź co bądź, to ironiczne uspokajanie społeczeństwa z epoki dzisiejszej, rzucone mu w twarz, przez stojącą przed obrazem Hussa poetkę, zawiera w sobie, wbrew jej woli, ironię podwójną. Lecz ta druga, zwraca się już wprost do samej autorki tylko, z wyrazem: „Nie bluźnij!"

W każdym razie, reasumując wrażenie jakie na nas wywarły poezye pani Konopnickiej, zawarte w tej seryi trzeciej, wyznajemy, iż posiadają one wartość niepospolitą i świadczą, raz jeszcze, o wyższym tej autorki talencie.

W dzisiejszych, prozaicznych czasach, radzimy tym wszystkim, którzy nie stracili dotąd zamiłowania w barwach i w woni kwiatów z ducha wschodzących, ażeby ten nowy zbiór poezyi pani Konopnickiej, przeczytali uważnie. Znajdą tam czem posilić duszę a przynajmniej upieścić wykwintny zmysł artystyczny, jeśli go posiadają.

Spotkają się tam wreszcie z pięknemi przekładami poetów dotąd im może mniej znanych, jak np. Jarosława Vrchlickiego, Platona Kosteckiego, Tupego i innych.

Zrobilibyśmy może tylko zastrzeżenie co do, wybornego zresztą, tłomaczenia poematu Pawła Heysego p. t. Dziecię Wieszczek, z powodu iż w książce napisanej przez kobietę i przeznaczonej dla kobiet, utwory aż tak jaskrawe... mieścićby się nie powinny.

Lecz zastrzeżenie to cofamy śpiesznie choćby tylko z obawy, ażeby ono właśnie kusząc owocem zakazanym, nie przyczyniło się bardziej jeszcze do poczytności tego właśnie przekładu.

Aleksander Pólkozic.

FRAGMENT.

Cięży mi życie i nędza i małość,
Bunt kipi we mnie i pali się co dnie,
Miast w posągową ujęty świat całość,
Miast wielkie cnoty, albo wielkie zbrodnie,
Dokoła widzę gliniane okruchy,
Niemocne ciała i upadłe duchy!

Nie mów mi, bracie, z za kart swojej księgi,
O grzechach moich praojców na ziemi;
Nie tykaj w śpiże zaklętej potęgi,
Myślą bezduszną i usty zimnemi,
Bo masz do tego, byś odczuł ją całą,
Rozumu nazbyt, uczucia za mało.

Bo wolę klęknąć u trumny zbutwiałej
I czarną różą rdzę otrzeć z brzeszczotu,
Niźli ją ważyć i ciąć ją w kawały,
Urągać pleśni, nie przyjrzeć się złotu,
Wiedząc, że ojce na zawsze uśpione,
Nie odpowiedzą już nic na obronę.

I wolę piersi w stal szczerą zakute,
I czoło kresą przecięte na dwoje,
Niźli zmarszczkami przedwcześnie zasnute,
Bo wolę dęby, niżeli powoje,
Bo nad nikczemne pełzanie po dole,
Pyszny majestat praojców mych wolę.

I wolę serce, krwią żywą dymiące,
Wydarte piersiom, jak brylant oprawie,
I w lazur uczuć rzucone, jak słońce,
Niż mózg, ślimakiem zakrzepły w swej lawie,
Rozkoszy próżen i próżen katuszy,
Skorpionem podłym pijący krew duszy.

J. Kuczyński.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

Przyjemne te kolizye powtarzają się pomimo wszystko dość często. Regularnie co kilka tygodni, całe sąsiedztwo zbiera się w Wańkowcach i nie ma w okolicy jednej duszy, którąby chciała pozbawić się dobrowolnie prawa korzystania z dni ogólnego przyjęcia, gdyż szanowny dom hrabiów X. niezaprzeczenie uchodzi za najpierwszy, nietylko w powiecie, lecz na całem Pobereżu, zaszczyt zaś bywania w wysoko poważnych progach, ceni sobie każdy niemało. Gorycze, kwasy, szyderstwa i wspólne się nienawidzenie nieprzejednanych partyi, kwitną tu sobie swobodnie od lat kilku, łagodzone wielkim taktem i niewyczerpaną cierpliwością, uprzejmych gospodarstwa. Do stanu tego przywykli już wszyscy oddawna i jest nadzieja, że jeżeli gwałtowny jaki kataklizm, nie wstrząśnie w posadach prowincyonalnym światkiem, w szczęśliwym tym zakątku, nie zmieni się nic do końca świata.

Ostatnie tony śpiewu artystki, konają bez współczucia w ciężkiej atmosferze salonu, gdy panna Antonina staje przy oknie, patrząc z niepokojem na gasnącą coraz na niebie zorzę. Noc zupełna, a Anusi nie ma! Przywoławszy matkę skinieniem głowy, wyjawia jej pocichu swe obawy.

Hrabina uważa już także, że przejażdżka trwa za długo. Nasuwa się przecież przypuszczenie, iż młoda para zajechała po drodze do księdza kanonika, który dotąd nie przybył i zapewne powrócą razem.

Coś z tej rozmowy dochodzi widocznie do ucha matki Endymiona, gdyż opuściwszy trzechpiętrową Marszałkowę, zbliża się do nich żywym krokiem.

— Co za niepokoje, najdroższe! — przekłada słodko. — Z Aneczką jest Endymion, to powinno wam wystarczyć!

Na tak stanowcze zapewnienie, niewypada jak uśmiechnąć się równie słodko, poczem panie obie odchodzą w głąb' salonu. Hrabina wspomniawszy coś jeszcze o zaawanturowaniu się dzieci, udaje się do gości, przy dalszych stolikach, pseudo hrabina powraca pod skrzydło Marszałkowej, przy której korpulentnej osobie, szczupła jej spowinięta w czarne blondyny postać, zdaje się tylko koronkowym cieniem.

Panna Antonina zostaje przy oknie, siada sobie cichutko za firanką i spogląda na drogę ku bramie, gdzie lada chwila ukazać się powinni powracający zbiegi.

Zupełna ciemność zaległa już przestrzenie, gdy spostrzega nareszcie Endymiona, wchodzącego do pokoju, gdzie starsi panowie pracują gorliwie przy zielonych stolikach. Przebiegłszy salon, panna Antonina staje przed kuzynkiem, w chwili, gdy młody człowiek rzuciwszy na stołek kapelusz, zwraca się w stronę bufetu, gdzie pociąga go baterya ustawionych tam kieliszków i butelek.

— Przyjechaliście! to dobrze. Tak już byłam niespokojną! Gdzież Anna?

— Anna... Panna Anna, została w lesie — odpowiada z flegmą złotowłosy Apollin. — Ten wasz, tyle sławiony z tresury karosz, rozbiegał nam się haniebnie, wolancik się potrzaskał i kuzynka nie mogła ze mną powrócić. Poślijcie po nią powóz nad jar do dębiny. Łatwo odszukać, gdyż wypadek miał miejsce, gdzie zakręca się drożyna.

— Anna! na Boga, co się dzieje z Anną? — pyta, rzucając karty hrabia.

— Nic zupełnie! Pozostawiłem ją zdrową i całą, gdyż nie chciała się fatygować do domu pieszo.

Ojciec i córka, spostrzegają dopiero teraz, że Endymion jest blady i przemawia dziwnym tonem.

— Co to wszystko znaczy? Dlaczego zostawiłeś ją tam samą pod noc, Endymionie? — dopytuje hrabia niespokojnie.

Młody panicz uśmiecha się szydersko.

— Odpowiedź na to, nie do mnie należy, mój wuju — wymawia półgłosem, sucho. — Córka twoja ma fantastyczne gusta i upory. Nie pozostała zresztą sama, jest z nią Jan, twój stangret. Proszę mnie nie winić, że nie dotrzymałem jej towarzystwa, gdyż przełożyła jego, nad moje. Uważałem oddawna, iż za wiele zostawiacie jej swobody i szaleństwa dziewczyny, przechodzą wszelkie dozwolone kobiecie granice.

Wyrzekłszy te słowa, złotowłosy pieszczoch odwraca się najspokojniej i wychyliwszy prędko dwa kieliszki wina, wychodzi do salonu.

— Co on mówi? — wymawia patrząc na córkę zdumiony hrabia.

Panna Antonina domyśla się połowy przynajmniej historyi i humor kuzynka nie bardzo ją zadziwia.

— Mniejsza o to co mówi! — odpowiada ze śmiechem. — Jest zły, to widoczne, Anusia dała mu odprawę i to uważa za postępek godzien potępienia. Główną rzeczą, jest teraz pośpiech by sprowadzić Annę do domu.

Hrabia uznaje słuszność domysłów córki. Wydawszy rozkaz wysłania do dębiny ludzi z końmi, powraca do przerwanego preferansa, lecz niemoże odzyskać spokoju. Wypadek cały w połączeniu z niezwykłem zachowaniem siostrzeńca, przedstawia mu się w dziwnie tajemniczem świetle, wspomnienie zaś słów lekceważących, rzuconych przeciw ukochanej dziewczynce, burzą krew w jego żyłach, tem więcej, że przekonanym jest najsilniej, iż musieli je dosłyszeć wszyscy obecni.

W salonie tymczasem dzieją się jeszcze ciekawsze rzeczy.

Ujrzawszy wchodzącego Endymiona, rozkochana matka, od jednego rzuconego w twarz jego spojrzenia, odgaduje, iż zaszło coś nieprzyjemnego. Opuszczając po raz drugi sąsiedztwo powiatowej powagi, wątły cień czarny posuwa się szybko przez salon, do szukającego go spojrzeniem syna, którego wprowadza po za tę samą aksamitną firankę, służącą przed chwilą za schronienie pannie Antoninie.

— Co się stało? — pyta cichym szeptem, chwytając za ręce ubóstwianego jedynaka.

— To, że nie zostanę tu dłużej ani chwili — odpowiada panicz gwałtownie.

— Odmówiła ci?

Złotowłosy Apollin milczy. Przyzwyczajonemu stale do roli tryumfatora, trudno przyznać się do porażki, nawet wobec tej ubóstwiającej go istoty. Myśl o doznanem upokorzeniu, ściska mu wściekłością gardło, tamując głos w piersi.

— Tak! — rzuca z tłumionym wybuchem, świadczącym jak trudno jest jego ustom wymówić to słowo.

Duma matki otrzymuje cios niemal boleśniejszy od ambicyi syna. Twarz szczupła starej damy bieleje jak płótno, w oczach zapalają się groźne błyski, usta zaciskają w głęboki załom srogości nieubłaganej.

— Powiedz mi wszystko — wymawia oddychając ciężko.

Endymion krótkiemi słowy, maluje jej zaszłe wypadki, od początku do końca, gdy dosiadłszy siwka stangreta, odjechał z lasu do domu.

Kobieta słucha go w milczeniu, szarpiąc suchą, kredowej białości ręką kosztowne koronki, na wązkiej, chwytającej z trudnością oddech piersi. Czuje, że gdyby wiedział ten uwielbiany, iż ona to sprowadziła go tutaj umyślnie, ona wprowadziła go zdradziecko w te sidła, w których zaplątał się tak nieszczęśliwie, umarłaby w tej chwili. Padłaby trupem na miejscu, od żalu i wstydu, który i teraz rozrywa jej serce.

— Wyjedziemy jutro — szepce gorączkowo — wyjedziemy jutro... lecz dziś... nie powinien nikt odgadnąć, że dotknęło cię coś w podobny sposób!...

— Bah! — odpowiada syn niecierpliwie — znasz mnie chyba dość dobrze, byś miała przypuścić, że będę chodził w żałobie!

Mówiąc to młody człowiek, wysuwa się z za firanki, udając się na górne piętro, do swego pokoju.

Kobieta pozostaje w swem ukryciu, opiera czoło o chłodną szybę i patrzy przez okno w noc ciemną.

W głowie jej panuje zamęt, spowodowany zajściem rzeczy niepojętej.

Ta... mała, dzieciak, chochlik psotny, skaczący po urwiskach jak pół dzika tatrzańska kozica pogardziła Endymionem! jej Endymionem! Podobny przewrot rzeczy niespodziewanym był nigdy w tak pięknie obmyślanym programie. Przypuszczała, że on może nie raczy zwrócić oczu na dziewczynę, lecz by zaszło coś wprost przeciwnego, to nie postało jej w głowie ani na chwilę.

W zapadłej piersi pod hiszpańską mantylą, zrywa się huragan gniewu. Ściany w których zmuszoną jest przebywać do jutra, gniotą ją, tłocząc duszę, nieznośnym ciężarem. Gdyby miała na swe rozkazy gromy, cisnęłaby je z rozkoszą na dach tego domu, który staje jej się nienawistnym! Ale nic to nie znaczy, że nie posiada nad burzami mocy, ta która szaleje w jej sercu ma dość siły, by rzucać pociski zabójcze na potępione głowy.

— Wyjedziemy jutro — mówi sobie z mocą — lecz dziś jeszcze tu jestem i na Boga, nie zmarnuję tych kilku godzin, które mam przed sobą!

Instynktowe poczucie potrzeby zachowania pozorów, ostrzega ją, że należy wrócić do towarzystwa i odchodzi od okna opanowując wolą, miotające nią wzruszenie.

Po chwili siedzi już na swem miejscu, wciśnięta w róg sofy. Dokoła niej toczy się gwarna, wesoła gawędka, Marszałkowa pyta ją o coś, czy coś opowiada, lecz ona niebardzo rozumie, czego chcą od niej ci ludzie? Głowę jej całą zajmuje myśl jedna:

— Odrzucono Endymiona! mego Endymiona!

Nieprawdopodobna ta, niemniej spełniona prawda, szumi jej pod czaszką sprawiając w mózgu dziwne zawichrzenie. Ręce drżą jej nerwowo pod koronkową mantylą, oczy wpatrzone martwo w przestrzeń przed siebie, świecą jak węgle wśród bladej twarzy.

Wspaniała sąsiadka spostrzega wreszcie zmianę rysów kobiety.

— Co kochanej hrabinie? czy nie słaba? Zaszło coś złego... prawda? Boże, czy nie jaki wypadek!...

Szereg pytań wymówionych serdecznie cichym głosem, otrzeźwia nieco rozszalałą matkę.

— O... nie... nic ważnego! — odpowiada przywołując przemocą uśmiech na usta. — Nieprzyjemny, lecz drobny wypadek. Syn mój z kuzynką pojechali na spacer... koń się rozbiegał...

— Boże! Anusia! panna Anna!...

— Ależ... nie... nie, droga pani. Zupełnie zdrowa! Koń z powozikiem wleciał wprawdzie do jakiegoś dołu, lecz w chwili upadku, uratował dziewczynę tutejszy stangret... Uważasz pani... zupełnie jak w romansie. W krytycznym momencie zjawia się bohater... wyrywający heroinę z objęć śmierci!...

— Poczciwy chłopak! — woła dobrodusznie słuchająca.

Twarz szczupłej damy staje się śpiczastą, przybierając kształt regularnego trójkąta.

— Romantyczna przygoda! — przemawia głosem syczącym — tem więcej, że bohater... w rzeczywistości bardzo zajmujący. Niepospolity typ sługi. Ta kochana Anna, w przeczuciu zapewne dzisiejszego ocalenia, upatrywała oddawna dziwne, utajone przymioty w jego osobie! Wyobraź sobie pani, niedawno kazała nam wszystkim podziwiać dystynkcyę swego stajennego. Szalona dziewczyna... znasz ją droga Marszałkowo. Naturalnie, chłopak jak zwykle stajenni... nieróżniący się niczem od wszystkich swych kolegów. Lecz cóż robić. Bywają kobiety, mające gust wyłączny, do strzelców i masztalerzy.

Stara dama poczyna się śmiać dziwnie, tak dziwnie, że pogodne oblicze Marszałkowej poważnieje powoli, a jasne siwe oczy, otwierają się szeroko mocnem zdumieniem.

— Nie rozumiem — wymawia zwolna, z zawieszeniem głosu, wyrażającem niedowierzanie. — Nie twierdzisz przecie, kochana hrabino...?

Druga połowa pytania ginie w szmerze ogólnej rozmowy, wypowiedziana tak cicho, że nie umiemy jej powtórzyć.

Dalszy ciąg rozmowy, prowadzony jest tak tajemniczo, że nic z niej nie dochodzi do wiadomości zgromadzonych, możemy tylko zapewnić, że przez kilkanaście następnych minut, mocno różowe ucho okazałej damy, przylega szczelnie do wązkich ust czarnego cienia, przyczem w okrągłych źrenicach słuchającej, zdumienie przechodzi stopniowo w wyraz strasznej grozy.

Po chwili, obie tak silny kontrast stanowiące postacie, odsuwają się od siebie. Trzechpiętrowa powaga powiatowa odsapuje, fizyognomia jej doszła powoli świetności barwy rozkwitłej w pełni piwonii, usta zaciskają się surową powagą.

— Józiu, Felciu, Róziu, Helciu! — woła na rozpierzchłą po salonach czwórkę. — Chodźcie tu dziateczki! siądźcie sobie i bądźcie przy mnie.

Zaspokoiwszy tym rozkazem macierzystą swą troskliwość, Marszałkowa dobywa piękną, srebrną cygarnicę, energicznym ruchem pociera zapałkę i zapalając świeżego papierosa, otacza się chmurką sinego dymu.

— Nie trzeba nigdy, pozostawiać dziewczętom zbyt wiele swobody — zwraca się do sąsiadki.

— Pani, to dla młodych moralne zabójstwo! — przywtarza z mocą pseudo hrabina. — Ileż razy mówiłam hrabiemu, że zachowanie Anny zbyt jest swobodnem. Niestety, nie chciał mnie słuchać. Owładnęła go mania postępowości na każdym punkcie. Odpowiadał mi stale, że nie znosi tego tysiąca cienkich drobnych nitek, oplątających dziewczęce życie od chwili urodzenia. Chciał mieć córki wychowane po angielsku i otóż skutki.

— Droga hrabino, tu nie Ameryka! tu nie Ameryka! — wtóruje poważnie Marszałkowa. — Ja przynajmniej, strzegę mych dziewcząteк jak oka w głowie i jest im z tem dobrze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

STOWARZYSZENIE
natychmiastowej pomocy lekarskiej
W WARSZAWIE.

Nie wiem czy w obczyznie jest gdzie podobne stowarzyszenie, ale tego jestem pewny, że w mieście takiem jak Warszawa przydałoby się bardzo.

Wprawdzie lekarze nasi nigdy rady nie odmawiają nawet bezpłatnie, ale tylko w pewnych godzinach dnia ściśle oznaczonych.

Mamy także lecznice w których chorzy znaleźć mogą pomoc od lekarzy, koleją wśród dnia zmieniających się, ale to wszystko jest niewystarczającem.

Choroby nagłej nikt przewidzieć niemoże, napada ona pozornie najzdrowszych i to nieraz tak silnie, że tylko jedynie pomoc lekarska i to natychmiastowa ocala życie chorego. Gdy to zdarzy się w nocy, to jeszcze pół biedy, mając adres lekarza znaleźć go można, ale nie zawsze sprowadzić do chorego, bo choć sam leczy to i ulega przypadłościom chorobliwym. Szukaj więc drugiego, wypytuj się o mieszkanie, szturmuj do bramy kamienicznej, rozbudzaj stróża targaniem dzwonka i może znów z podobnym jak pierwej zawodem.

Wszystko to jednak pół biedy, jak powiedziałem, a całą biedą dopiero napaść choroby niespodziana w środku dnia, pomiędzy godziną dziewiątą rano a trzecią popołudniu, w których lekarze zwykle po za domem pomoc swą udzielają. Kto wówczas znajdzie lekarza to tylko przypadkiem, na co naturalnie liczyć niemożna, a tu chory coraz groźniejszemu ulega cierpieniu, wzywa ratunku, jęczy, domownicy głowę tracą, pomoc nie przybywa... cóż więc robić w takim wypadku?

Podobne zapytanie jeszcze w roku 1869 zrobił Doktor Stefan Kuczyński, w ostatnim numerze Kuryera Warszawskiego, odpowiadając na rzuconą myśl urządzenia przy Towarzystwie dobroczyn-

ności Ambulatoryum dla biednych chorych, mającem być prowadzonym przez trzydziestu lekarzy.

Mamy, powiada Szanowny Doktor, dosyć bezpłatnych porad lekarskich, ale istnieje u nas niedogodność o której zaradzeniu nikt u nas nie pomyślał, a która nieraz dotkliwie uczuwać się daje; mówimy tu *o natychmiastowej pomocy lekarskiej*. Gdy bowiem weźmiemy na uwagę, że nagłe choroby niejednokrotnie mogą napastować biednych naszego miasta i że nieraz natychmiastowy tylko ratunek może zbawić od niechybnej śmierci, czyż nie przyzna każdy, że zaradzenie tej potrzebie jest rzeczą ważniejszą niżeli fundowanie nowych ambulatoryów, których już mamy podostatkiem. Zaradzenie zaś temu nie jest rzeczą tak trudną i niepodobną, jakby się to na razie wydawać mogło, należy tylko wezwać do współudziału nie trzydziestu, lecz wszystkich lekarzy warszawskich, których znowu gotowość i uczynność daje rękojmię, iż żaden z nich kilku godzin w miesiącu nie odmówi dla tego celu poświęcić.

Tym sposobem, powiada dalej doktor S. Kuczyński, dałoby się urządzić *Stowarzyszenie natychmiastowej pomocy lekarskiej*, którego członkowie odbywaliby dyżur i byli gotowi na wezwanie potrzebujących natychmiastowej porady, niekoniecznie w Towarzystwie Dobroczynności lecz w kilku naraz partyach, by dać możność korzystania z tej pomocy najodleglejszem stronom miasta. Za najstosowniejsze miejsca dyżuru, uważa Szanowny Doktor apteki i wymienia niektóre z nich w różnych punktach Warszawy.

Myśl tę rzuconą przed dwudziestu blizko laty, jako wielce praktyczną, a bez skutku pozostałą podnosimy na nowo. Daj Boże! aby przyjęta życzliwie przez pisma peryodyczne, nabrała właściwego rozgłosu i utworzyła korporacyą tak naszemu miastu potrzebną. Kwestya tylko zachodzi kto się zajmie jej utworzeniem?

Sądzimy, że najwłaściwszym do tego będzie komitet lekarski przy Towarzystwie Dobroczynności, lub samo Towarzystwo.

J. G.

DON GESUALDO.

NOWELLA

OUIDY.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

Późno już było, gdy wyszedł ze młyna. Lękał się, żeby Candida nie trwożyła się jego nieobecnością, z bijącem więc sercem przyśpieszył kroku, kierując się w stronę uśpionej wioski, oblanej srebrzystemi promieniami księżyca.

Upokarzało go poczucie własnej słabości i braku energii, nie, on nie potrafił przekonywać, nawracać, rozkazywać lub grozić! Myśl, że może niegodnie sprawuje swoje obowiązki, wstrząsnęła nim do głębi duszy.

— Szkoda, że nie zostałem zakonnikiem — powiedział sobie — nie mam bowiem daru nawracania serc ludzkich.

Przyszedłszy na probostwo, wślizgnął się po cichutku po schodach prowadzących do swego pokoju, uszczęśliwiony, że Candida nie spytała go surowym głosem gdzie siedział tak długo. Spał bardzo mało tej nocy i wstał równo z brzaskiem jak zwykle. O wschodzie słońca dzwon kościelny wezwał wiernych na poranne nabożeństwo.

Była to uroczystość świętych Piotra i Pawła. Na pierwszą mszę ludzi zebrało się mało: było tam kilku wieśniaków, którzy chcieli być wolni przez resztę dnia, kilka gospodyń, które wstały rano a między niemi w pierwszym rzędzie Candida.

Rosa lśniła jak brylanty pod wesołemi promieniami porannego słońca, ołtarz przystrajały lilie i róże, czerwone chorągiewki powiewały u drzwi wchodowych. W kwiecistych zaroślach śpiewały słowiki a śpiew ich mieszał się z pieniem kościelnem.

Msza skończyła się właśnie, gdy z zewnątrz dał się słyszeć gwar dziwny, niepojęty. Głosy mieszały się, pielęgnowały i cichły; ludzie krzyczeli, nawoływali się, mówili wszyscy razem.

Mężczyzni i kobiety, znajdujący się w kościele, porwali się z klęczek i zaczęli tłumnie cisnąć się do drzwi, mniemając, że ziemia się otwiera a domy sypią w gruzy.

Gesualdo odstąpiwszy od ołtarza, usiłował ich uspokoić, ale nikt nie zważał na niego i wkrótce kościół opustoszał i ksiądz wyszedł za drugimi.

Na drogę wybiegli mieszkańcy całej wsi, mężczyzni, kobiety, starcy i dzieci. Słowiki spłoszone gwarem umilkły.

— Co się stało? — spytał Gesualdo.

— Tasso Tassilo został zamordowany.

— Ah! — zawołał Gesualdo stłumionym głosem, opierając się o pień cyprysu.

Na co się zdały wczorajsze jego słowa!

Zamordowanego człowieka znaleziono w trzcinie, niedaleko drogi, w pewnej jednak odległości od kościoła. Pies szukający jego śladów, odkrył jego ciało.

Śmierć nastąpiła przed kilku godzinami, skutkiem uderzenia nożem w plecy. Cios silnie był wymierzony, gdyż nóż dosięgnął serca.

Przerażenie tłumu było niezmierne a wrzawa rosła z każdą chwilą. Ci, którzy odzyskali cokolwiek zimnej krwi, podążyli szukać karabinierów; lecz że ci obozowali ze dwie mile od Marca, nie było ich jeszcze widać.

Zabity leżał więc ciągle w tem miejscu, gdzie go znaleziono; nikt nie śmiał go ruszyć.

— Czy jego żona wie już o tem? — spytał Gesualdo dziwnym, ochrypłym głosem.

— Nie będzie ona po nim płakać — rzekł jakiś głos z tłumu.

Słowom tym zawtórował śmiech lecz powstrzymała go groza śmierci i obecność księdza.

Gesualdo zadrżawszy z obrzydzenia, skinął ręką nakazując milczenie i pochylił się nad trupem leżącym w pośród trzciny.

— Przenieście go do zakrystyi — rzekł — nie powinien tu leżyć jak zdechłe zwierzę. Idźcie po nosze lub prześcieradła.

Nikt się nie ruszył.

— Jeśli go dotkniemy, zatrzymają nas posądzając o zabójstwo — wyszeptali wszyscy jednogłośnie.

— Nikczemni! zróbcie mi miejsce, zaniosę go sam — rzekł ksiądz.

— Ależ jesteście w duchownych szatach! — zawołała Candida, ciągnąc go za rękaw.

Gesualdo nie zważając na to odegnał litościwie muchy, które brzęczały już koło ust zmarłego. Choćby muchy cały dzień gryzły trupa, niktby go także nie opędził, nikt nie osłoniłby go od palących promieni słońca.

Gesualdo z natury nie był człowiekiem silnym, długie posty wycieńczyły go jeszcze bardziej, lecz oburzenie i współczucie dodały mu siły, schylił się podjął bezwładne ciało i uginając się pod ciężarem niósł je ku plebanii.

Ludzie milcząc przez uszanowanie, patrzyli nań z otwartemi usty.

— To wbrew prawu — szeptali niektórzy ścicha lecz nie śmieli mu się opierać.

Gesualdo nie zważając na krzyki swojej służącej, doniósł ciało do zakrystyi i złożył je na ławce. Był zmęczony okropnie, pot kroplami spływał mu po twarzy a stuła splamiła się krwią. On nie słyszał ani utyskiwań Candidy nad pohańbioną szatą kościelną, ani szeptów ludzi cisnących się do zakrystyi. Spoglądał na biedne, zesztywniałe, okryte kurzem ciało, na szklane bez wyrazu oczy i powtarzał sobie w duchu z niemą trwogą: „To ona jest sprawczynią!”

I w duszy jego nie było pod tym względem ani cienia wątpliwości.

Candida wołała ciągle:

— Stuła! kapa! Zniszczycie wszystko... Zdejmcież to!

Odepchnął ją z lekka z miną tak poważną, jakiej u niego nigdy nie widziała i wskazał natrętom drzwi.

— Ja będę nad nim czuwał dopóki straż nie nadejdzie. — Idźcie i przyślijcie tu jego żonę.

Następnie skropił trupa święconą wodą i ukląkłszy przy nim, zaczął się modlić.

Tłum powiedział sobie, że ksiądz postępował dziwnie, dlaczego wydawał się tak przejęty i przerażony? Gdyby był stracił głowę, krzyczał, biegał tu i tam bez celu i pozostawił ciało w trzcinie, byłoby im się to wydało zupełnie naturalne.

Stali przed kościołem i plebanią wpół przestraszeni a wpół rozgniewani; niektórzy pobiegli do młyna, lękając się aby inni nie uprzedzili ich z wielką nowiną.

Nikt nie żałował zmarłego, z wyjątkiem kilku wieśniaków, którzy byli jego dłużnikami, przeczuwali oni, że wkrótce w imię prawa będą wezwani do zapłacenia długu.

Zamordowany człowiek leżał w zakrystyi, śmierć oblokła już twarz jego owym dziwnym, tajemniczym spokojem jaki nadaje ona każdej choćby najpospolitszej istocie.

Pośród zgiełku i wrzawy dochodzącej z zewnątrz, tylko zmarły i ksiądz zachowywali najgłębsze milczenie.

Gesualdo w zakrwawionych szatach kościelnych, klęczał modląc się gorąco nie za człowieka zmarłego lecz za żyjącą kobietę.

Upał stawał się coraz nieznośniejszy. Ksiądz podniósł się i kazał zakrystyanowi przynieść jakie płótno i okryć niem ciało dla zabezpieczenia od much. Sąd nie zjawił się. Posłańcy wrócili mówiąc, że nie zastali karabinierów, którzy wyszli gdzieś ze wschodem słońca. Trzeba więc było czekać cierpliwie. Wieśniacy siedzieli lub stali na drodze lub dziedzińcu. W ich jednostajnem życiu nigdy jeszcze nie trafił się tak okropny wypadek. Niektórzy przynieśli sobie chleba i jedli rozprawiając ciągle.

— Czy nie posilicie się czemkolwiek? — rzekła Candida do Gesualda. — Jemu nie wrócisz życia choćbyś się sam na śmierć zagłodził.

Gesualdo wstrząsnął przecząco głową.

W gardle go ściskało a usta miał spalone gorączką; wzrok utkwił w drogę, którędy przyjść miała Generosa.

Jeżeli ona jest winną, myślał, za nic w świecie nie przyjdzie zobaczyć trupa.

Wkrótce spostrzegł ją biegnącą szybko między cyprysami. Zaledwie wrzuciła na siebie suknię, a bujne włosy splątane bezładnie spadały jej na ramiona, twarz miała trupio bladą.

Noc przepędziła niespokojnie, zamknięta w swoim pokoju, długie godziny przesiedziała w oknie zkąd mogła widzieć przy świetle księżyca ciemne zabudowania willi, kryjącej się między oliwnemi drzewami. Myślą była przy ukochanym.

Nie widziała piękności nocy, nie zachwycała się urokiem uśpionej przyrody, w sercu jej bowiem wrzała burza pierwszej miłości i namiętności występnej.

Chociaż charakteru niepodległego, nie była jednak złą i sumienie wyrzucało jej, że postępuje niegodnie. Czuła, że Tasso kochał ją uczciwie, że był dla niej hojnym i wspaniałomyślnym a nawet dobrym, aż do chwili w której słuszna zazdrość zatruła mu życie.

Nibyto obrażała się o zarzut niewierności, lecz w swej prostocie musiała przyznać, że płaciła złem za dobre i sponiewierała nieoględne lecz uczciwe przywiązanie swego starego męża.

Nie wahałaby się złączyć swego życia z życiem ukochanego, ale w głębi duszy czuła, że postępuje nieuczciwie i nikczemnie, oszukując człowieka starego i słabego.

Nienawidziła męża z całego serca, wszakże był jej szpiegiem, tyranem, dozorcą. Dreszcz ją przejmował na sam odgłos jego kroków i skrzeczącego głosu. Bała się szorstkości z jaką przemawiał do robotników i krzyczał na bydlęta, a twarz jego na której wyryła się zazdrość i cierpienie, stała jej się wstrętną.

Młodość nie ma litości na podobne cierpienia u osób starszych. Kobieta często żartowała z męża okrutnie. Czuła jednak swe błędy i wyrzuty don Gesualda wzruszyły bardziej jej sumienie, niż on sam mógł to przypuszczać.

Znajdowała się ona w tym okresie niepewności gdzie kobieta może być uratowaną przez jakąkolwiek zmianę, oddalenie, zajęcia lub rozrywki światowe, lecz dla biednej Generosy nie było podobnego ratunku.

Dopóki mąż żył, skazaną była na pobyt we młynie, na ciągłe słuchanie ogłuszającego turkotu kół i wpatrywanie się całemi godzinami w zarośla trzcin i roślin wodnych, lub pól poprzerzynanych gdzieniegdzie klonami i winnicami.

Zawsze taż sama biała droga wijąca się wśród topól i nic, nic coby mogło rozerwać jej myśli i kazało zapomnieć o ukochanym, który mieszkał tam na wzgórzu w starym pałacu.

Długie godziny wpatrywała się w willę. Wiedziała, że Falco nie był dziś w domu, wyjechał na targ ze zbożem do Vendramino i miał tam zabawić dwa dni. Lecz przypominała sobie z rozkoszą spotkania z nim po nad rzeką, samotne godziny spędzane w ogrodach willi, miłe wieczory kiedy wyrwawszy się z domu biegła naprzeciw niego przez pola zasiane kukurydzą.

Z daleka już widziała go dążącego ku sobie z pośpiechem i poruszaniem kapelusza na jej powitanie.

Zmęczona, rozdrażniona i niespokojna, rzuciła się nierozebrana na łóżko, w chwili, gdy dzwony kościelne wzywały na pierwszą mszę i zasnęła ciężkim i pełnym marzeń snem. Zdawało jej się, że widzi swego kochanka, wyciągającego do niej ramiona i szepczącego czule i namiętne słowa.

Jak długo tak leżała, sama nie potrafiłaby określić, gdy wtem zbudziło ją stukanie do drzwi i krzyki służby folwarcznej.

— Generosa! Generosa! — wołano — wstawajcież gospodyni! Młynarza zabito, leży już umarły w kościele.

Ona w tej chwili śniła o kochanku, czuła jeszcze na ustach namiętne jego pocałunki, gdy te straszne krzyki zbudziły ją nagle.

Jednym skokiem wyskoczyła z łóżka i odpychając tych co ją chcieli przytrzymać, zaczęła biedz jak szalona w stronę kościoła.

— Czy to prawda? czy to prawda? — wołała ujrzawszy don Gesualda.

Usta jej zsiniały a dreszcz wstrząsał całem ciałem.

Gesualdo utkwił w niej wzrok badawczy i nie mówiąc słowa odkrył płótno okrywające twarz zmarłego.

Na ten widok pełna życia i zdrowia Generosa, upadła zemdlona na podłogę.

Ludzie, którzy przybiegli do drzwi, spoglądali na nią podejrzliwie. Wszyscy posądzali ją o zbrodnię, wszyscy z wyjątkiem don Gesualda. Przed chwilą, spojrzawszy w oczy uznał ją niewinną. Zawołał Candidę i zostawiając jej staraniom biedną kobietę, zamknął drzwi przed ciekawym wzrokiem tłumu.

Wieśniacy szemrali, oburzając się na samowolę proboszcza, zabraniającego im tak ciekawego widowiska. Jakiem prawem zabraniał im tego?

— On wie, że ona jest winną — mówili pocichu — chce więc, aby przyszła do siebie i ułożyła sobie historyjkę, którą będzie śpiewać przed sądem.

Na drodze dał się słyszeć szczęk broni i tętent kopyt końskich. To karabinierzy jechali. Potem nadjechał sędzia z kilkoma urzędnikami z miasteczka Sant Arturo, gdzie był sąd pokoju, pod którego zwierzchnością była wioska.

Powstał krzyk, hałas i zamieszanie, rozkazy krzyżowały się i nikt nie wiedział co ma czynić.

Później przypomniano sobie postępowanie don Gesualda.

Uroczystość św. Piotra i Pawła była prawdziwym dniem klęski i nieszczęścia, ale dla poczciwych ludzisków w Marca wszystko to co nowe, miało niezwykły powab.

Od rana do nocy mówili bezustanku o wypadku, a im tragedya stawała się zawikłańszą, tem języki bardziej były w ruchu.

Tylko ksiądz moralne przechodził tortury. Od chwili, gdy ujrzał wystraszony wzrok Generosy, znikł z jego duszy nawet cień podejrzenia, ale czuł, że dla każdego zbrodnia jej była jasną jak dzień.

Niezgodne pożycie z mężem i namiętna miłość Generosy względem młodego Falca, nie były tajemnicą dla nikogo. Komuż więc bardziej zależało na śmierci męża, jak jej? Śmierć ta obiecywała jej przecie swobodę.

Wszyscy mieszkańcy wioski byli przeciwko niej. Kobiety zazdrościły jej zawsze piękności, mężczyzni mieli do niej urazę za to, że gardziła niemi i okazywała się dumną i nieprzystępną. Ona biedna niemal żebraczka z Bocca d'Arno, tu odgrywała rolę królowej.

— Kiedy życie uśmiechało jej się, ludzie nic nie mówili — powtarzała Candida ze złośliwem zadowoleniem — teraz skoro padło na nią nieszczęście, każdy rzuca na nią kamieniem.

I ona gotowa była uczynić to samo, Generosa wydawała jej się zawsze bezwstydną kobietą, która przychodziła bez ceremonii o każdej porze dnia rozmawiać z don Gesualdem, jak gdyby kościół i zakrystya były sklepem otwartym dla przechodniów.

Jak zeszedł ten smutny dzień i jak don Gesualdo potrafił przenieść te wszystkie wstrząśnienia, sam nie umiałby na to odpowiedzieć.

Już było dobrze po północy, a nie mógł się jeszcze uspokoić i trzymając krucyfiks w ręku chodził tam i napowrót po swoim małym pokoiku.

Nagle usłyszał za oknem głos niespokojny, który go wołał po imieniu. Przysunąwszy się bliżej poznał Falca Malegari, który siedział na spienionym koniu.

— Czy to prawda? Czy to prawda? — wołał Falco.

— Tak, prawda — odpowiedział a głos jego był poważny i chłodny zarazem. Nie mógł powiedzieć jaki udział ten człowiek miał może w zbrodni.

— Ale ona jest niewinna jak ten ptak w przestworzu! — rzekł Falco, wskazując na sowę ulatującą ponad cyprysami.

Gesualdo pochylił głowę i z wyrazem zwątpienia wyciągnął przed siebie ręce.

— Odjechałem w nocy, aby kupić bydła na targu — mówił młody człowiek z tłumionem łkaniem. — Wyjechałem przeciwną stroną i nic a nic nie widziałem. O mój Boże! dlaczego mnie tu nie było? Nie byliby ją wzięli tak łatwo, drogoby ich to kosztowało.

— Nicbyś dla niej nie mógł uczynić — odparł zimno don Gesualdo. — Już dosyć złego jej wyrządziłeś — dodał po chwili milczenia.

Falca nie rozgniewały te słowa. Pochylony na siodle płakał ukrywszy twarz w dłoniach, porzuciwszy swobodnie cugle koniowi.

— Kto to uczynił? Kto mógł to zrobić? Miał on wprawdzie nieprzyjaciół gdyż był dość przykry w obejściu — szeptał.

Gesualdo rozpaczliwie wstrząsnął głową. Patrzał na piękną twarz Falca oświetloną blaskiem księżyca; w oczach jego dziwny malował się wyraz.

— Niech będzie przeklęty ten ksiądz, który ma serce z lodu!—pomyślał Falco z goryczą i zawróciwszy konia pojechał w stronę willi. Miał szczere postanowienie udać się natychmiast do Sant-Arturo.

Było już po północy, nie mógłby się zatem widzieć z nikim, ani nic dla niej uczynić, lecz ruch był dla niego ulgą. Nie mógł się zdecydować na spokojny powrót do domu, wiedząc że uwielbiana przez niego kobieta jest sama i zrozpaczona.

Gdyby się był dowiedział, że Tasso zmarł śmiercią naturalną, nietylko żeby się nie zmartwił, ale nawet szczerze ucieszył, lecz teraz radość jego gasła w obec straszliwego przeznaczenia, które wydzierało mu Generosę wtrącając ją do więzienia pod zarzutem tak ohydnej zbrodni.

Ani na chwilę nie posądzał ją o występek, lecz wiedział, że inni posądzać ją będą.

— Może to bydlę zabiło się samo, ażeby odpowiedzialność za zbrodnię padła na nią i na wieki rozdzieliła ją ze mną...

Lecz natychmiast uznał tę myśl za nienaturalną. Tasso Tassilo zanadto przywiązany był do życia, za bardzo kochał swój młyn, swoje pieniądze i za bardzo cenił posiadanie takiej pięknej żony, aby się miał posunąć do samobójstwa. A zresztą któż może się zabić ciosem wymierzonym między łopatki? Taki cios zadać właśnie mogła silna lecz trwożliwa dłoń kobieca.

Czekając na osiodłanie świeżego konia, Falco bez celu błąkał się po tarasie a nerwowy dreszcz wstrząsał jego ciałem. On jej nie posądzał, nie, na Boga! A jednak jakieś nieokreślone przeczucie ściskało go za serce i zaćmiewało w jego wspomnieniach promienną piękność kochanki.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODCZYTY

NA RZECZ OSAD ROLNYCH.

Profesora uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, o nowej szkole prawa karnego we Włoszech.

Jak dotąd cel kary przestępców kryminalnych nie jest dostatecznie określony, tak i poczytalność i niepoczytalność zbrodniarzy rozmaicie bywa pojmowaną. Jedni twierdzą, że celem kary jest poprawa, tymczasem w zastosowaniu jest niczem więcej jak najokrutniejszą zemstą społeczną, według pogańskiej zasady oddającą oko za oko, ząb za ząb.

Kradniesz, pokutuj więc w samotności, rabujesz, męcz się długie lata w warownej torturze; zabiłeś, giń więc pod toporem kata, ale abyś szkaradę swego występku poznał, żałował jego popełnienia i poprawionym wrócił do swej społeczności, tem się nikt ani nic nie zajmuje.

Kara zatem przez prawo wymierzana jest niczem więcej tylko zemstą, przez chrześcianizm potępioną.

O poczytalności i niepoczytalności winowajców, jest także kwestyą dotąd nierozstrzygniętą. Za mało znamy niemateryalną istotę człowieka i czynniki na nią działające, aby granica dzieląca poczytalność od niepoczytalności stanowczo oznaczoną została. Przyznanie się zbrodniarza do czynu, jest stanowczem jego potępieniem, a żal późniejszy z dokonania go uważany jest za następstwo zgryzoty sumienia.

Bywa tak wprawdzie ale bywa i inaczej, a jeżeli zważymy, że wiele morderstw pojedyńczo dokonywanych, jest tak głupio obmyślonych pod każdym względem, że prawie zaraz się wydają i celu swego nie osiągają, to czyż nie nasuwa się mimowoli przypuszczenie, że spełnione zostały pod wpływem obłędu choć chwilowego, ale zawsze obłędu. Namiętności ludzkie to siły, z którymi walka straszna może do obłędu chwilowego doprowadzić, a jak np. pod wpływem gniewu człowiek plecie potężne niedorzeczności często nawet prawem karcone, dlaczegóżby tak samo pod wpływem np. chciwości, pragnienia zemsty, nienawiści, zazdrości, zawodu w miłości, nie miał bezwiednie popełniać zbrodniczych czynów, wiodących go później na zatracenie.

Prawu też tak mało uwzględniającemu podobne wypadki, wypowiedziała walkę nowa szkoła włoska antropologiczna, która powstanie swoje zawdzięcza profesorowi Schilingowi w dziele wydanem jeszcze w roku 1866, p. t. Odpowiedzialność kryminalistów czyli przestępstw i choroby umysłowe przed sądem. Broni on w niej tezy profesora medycyny sądowej Lombrozo, dowodzącej że większa część przestępców ważniejszych, złożona jest z osób dotkniętych chorobą, w której pragnienie dokonania zbrodniczego czynu staje się koniecznością bez względu na następstwa.

Z osnową dzieła tego Prelegent starał się zapoznać licznie zgromadzonych słuchaczy i rozpatrzyć się w niem krytycznie pod względem praktyczności.

Pierwszą wadą dotychczasowych teoryi karnych, jest fałszywe działanie na winowajcę, w którem prawodawca ma tylko na myśli skutki popełnionej zbrodni a nie przyczyny, które ją spowodowały.

Drugą wadą jest bezwzględne powoływanie się na wolną wolę człowieka, bez której czyn karogodny spełnionym byćby nie mógł. Wolna wola bowiem ludzka jest jeszcze dotąd naukowo nie dowiedzioną i gdy jedni nie przeczą jej bytu, inni odmawiają jej wszelkiego znaczenia. System więc karny zbudowany na tak wątłej podstawie, musi być równie wątły i nieuzasadniony i jedynie mieć na pamięci obronę społeczną, bez względu czy zbrodnia z własnej woli przestępcy spełnioną została, czy z pobudek od woli jego niezależnych.

Nowa zatem szkoła zwana antropologiczną, przedewszystkiem domaga się światła nauki bez żadnego wyjątku z przymusem do jej pobierania, bo łatwiej zmuszać dzieci do dobrego, jak u starszych budzić wstręt do złego. Następnie nie przeczy konieczności uciekania się do kar zwyczajnie używanych, chłosty, pracy przymusowej, postu i zimnych natrysków, ale tylko w przestępstwach czysto materyalnych.

Tam zaś, gdzie występek popełniony zostanie z powodów moralnych, jak obraza honoru, gniew, zazdrość, miłość, czyli pod wpływem porywów psychologicznych, radzi winowajców pomieszczać w specyalnie na to urządzonych zakładach leczniczych. Kary śmierci stanowczym jest przeciwnikiem.

J. K.

WIADOMOŚCI

Z RÓŻNYCH STRON.

Straszna klęska powodzi, sprawiona wylewem wszystkich rzek w naszym kraju, nawet większych strumieni i strumyków, jakby zmownie działających, od dwóch już tygodni jest przedmiotem licznych i obszernych opisów, jakiemi wszystkie codzienne nasze pisma są przepełnione. Straty są ogromne, wypadki przerażające, nędza z tego powodu tym straszniejsza, że katastrofa była nieprzewidzianą. Któż bowiem mógł przypuścić, iż podczas mrozów kilkunasto stopniowych, w górach zapanuje ciepło, stopi lody na szczytach i te spływając strumieniami w doliny, zabiorą z nich śniegi i pokrywę lodową rzek dwustopowej grubości, połamią jak patyczki w całej jej długości i szerokości.

Stało się to jednak, w Wiśle woda doszła do 20 stóp głębokości i pokryła całe pobrzeże warszawskie, zatapiając parterowe mieszkania najuboższej ludności stołecznej. Dla ratunku nieszczęśliwych pomoc doraźna znalazła współczucie w sercach Warszawiaków; z ofiarami na jakie stać kogo, śpieszą chętnie, ale co to znaczy w obec wielkości klęski i ogólnej ruiny finansowej.

Dzienniki zagraniczne przynosiły także smutne wieści o minionej powodzi. Tak jak rzeki nasze tak i Odra, Elba i Ren wystąpiły z koryta, zalewając znaczne przestrzenie. Klęska wszakże dotąd daleko groźniej, niż w miejscowościach nad wspomnianemi rzekami położonych, przedstawia się w Morawii, w Węgrzech i w Czechach, gdzie wszystkie większe i mniejsze rzeki wylały. Komunikacya na kolejach węgierskich w znacznej części przerwana, nasypy kolejowe i mosty podmyte grożą zawaleniem. Setki ludzi pozostało bez dachu i mienia. W Nikolsburgu i Lundenburgu domy zapadają się jeden po drugim. Zorganizowany natychmiast komitet pomocy, gwałtem musi sprowadzać robotników na wały do robót wokoło zabezpieczenia grobli. Niżej położone dzielnice Temeszwaru stoją pod wodą. Fale rzeki Bega zalały przeszło 2,000 morgów gruntu. W miasteczku Strasza, w Morawii miał miejsce straszny wypadek. Blizko 100 osób, stojąc na drewnianym moście na rzece Miava, przyglądało się pędowi kry lodowej i wezbranych fal rzeki, naraz poręcz mostu załamała się pod naciskiem i 40 osób z przerażającym krzykiem wpadło do wody. Gwałtowny prąd uniósł nieszczęśliwych, uniemożliwiając prawie wszelką pomoc; z nadludzkim wysiłkiem udało się uratować zaledwie 4 osoby, reszta poniosła śmierć w rozhukanych falach.

Przy nieszczęściach jak grom spadłych na tak wielkie zbiorowiska ludzi w pobliżu rzek zamieszkałych, opłakujących straty swych chudob i drżących z głodu i zimna, obchodzone uroczyście w gronie nierozważnej młodzieży wypicie przez jednego z nich w ciągu niespełna pół roku, setnej butelki szampana, przejmuje grozą najpobłażliwszych. We wzniesionym toaście na dobitkę złego, jubilat przyrzekł pod słowem, że w ciągu lat pięciu dojdzie do tysiącznej. Życzymy... upamiętania!

Inny lepiej się spisał, bo w gronie młodzieży już rozmarzonej szampanowym traktamentem, zrobił zakład o trzysta rubli, że w ciągu dwóch godzin potrafi jeszcze wypić dwanaście butelek wesołego tego kordyału.

I pił ale nie wypił, bo przy ósmej padł tknięty apoplektycznym atakiem. Do przytomności wprawdzie przywrócono go, ale niebezpieczeństwa nie usunięto i niewiadomo co jeszcze nastąpi.

Sądząc po kosztowności tej szermierki pijackiej, domyślać się można należenia do niej młodzieży zamożnych domów, mogących szastać setkami rubli, a choćby i tysiącami. Młodzieży łatwo przebaczyć, jako skłonnych do płochych wybryków próżniaczego życia, ale co powiedzieć o rodzicach ich, nieszczędzących środków do możności spełniania szaleństw tego rodzaju?

Ta to sama zapewne młodzież, odznaczyła się znów w innym wypadku bardzo niekorzystnie, wyrażając się jak tylko można najdelikatniej.

Jeden z nich z powodu szumnego życia dobrze znany w gronie hulaszczej młodzieży, razem z nią w ciągu lat dwóch stracił cały swój majątek. Potem przeszedłszy różne koleje, ratując się od śmierci głodowej został kelnerem w tej samej restaura-

cyi w której niegdyś szastał rublami i tytułowany był jasnym panem.

I byłby biedak w spokojnej przystani dorobił się może chleba na nowo, ale na nieszczęście dawni, niby przyjaciele, poznali go i jednozgodnie oświadczyli restauratorowi, że jeżeli go nie wydali, przestaną uczęszczać do jego zakładu. Zrujnowany więc biedak ustąpił, a byli przyjaciele hulają dalej, nietroszcząc się wcale o swego dawnego towarzysza.

𝔖 **Ze świata kobiecej działalności,** mamy kilka faktów do zanotowania.

Do uniwersytetu zuryskiego uczęszcza około 70 kobiet, z tych 40 na wydział medyczny. Według Züricher Tageblatt, studentki szukają obecnie osobnego dla siebie lokalu na towarzyskie zebrania.

𝔖 **W Szwajcaryi** ma być otworzone stowarzyszenie p. n. *Reforma*, mające na celu utworzenie liceów żeńskich z kursem nauk, równającym się kursowi nauk w gimnazyach i szkołach realnych męzkich. Uczenice kończące licea, mogłyby zatem odrazu przechodzić do studyów uniwersyteckich.

Przy tem krzątaniu się o skarby nauki, dziwnym brzmi tonem doniesienie kuryerowskie, iż jedna z Warszawianek odznaczająca się niezmiernem zamiłowaniem polowania i bardzo celnie strzelająca, bawiąc u krewnych pod Siemiatyczami, własnoręcznie uśmierciła trzy zające, borsuka i lisa.

Powróciwszy do Warszawy, przywiozła oprócz zwierzyny, piśmienne zaświadczenie swojej zręczności, wydane przez gremium uczestników polowania.

Zręczność to niezwykła w kobiecie, a nawet i nienaganna, jednak zdaje mi się, że panny z zamiłowaniem strzelającej do dzikiej zwierzyny, nie pokochałbym a nie chciałbym mieć podobnie odznaczającej się siostry lub córki.

𝔖 **Z Dobrzynia nad Drwęcą** otrzymał Korespondent płocki list następującej treści: W okolicy naszego miasteczka zdarzył się fakt niezwykły, który pośpieszam podać do wiadomości czytającego i myślącego ogółu. Dnia 22 Lutego r. b. miała się odbyć licytacya ruchomości w majątku R., w dziesięciowiorstowej odległości od Dobrzynia, w powiecie rypińskim położonego, na zaspokojenie pretensyi jednego z płockich bankierów-lichwiarzów, który nie mogąc odebrać swych pieniędzy od głównego dłużnika, zwrócił się do biednego poręczyciela (co w obecnych czasach, jak wiadomo należy do rzeczy bardzo zwyczajnych). Żyrant, sam w kłopotach, zadośćuczynić życzeniu szanownego „dobroczyńcy ludzkości" nie był w stanie, miał więc za chwilę rozegrać się smutny dramat. Właściciel majątku był przygotowany (czytaj: zmuszony) do słuchania w milczeniu i smutnych rozmyślanach nieodwołalnych: „Po pierwsze!" „po drugie!" i „po trzecie!" W tej chwili, dowiedziawszy się o wypadku, zjawiają się włościanie tejże wioski i składają na stół rs. 300: jeden dał rs. 150, drugi rs. 50, inni złożyli mniejsze kwoty, wołając: „Nie damy naszego pana żydom!" Ponieważ jednocześnie przyszedł posłaniec od jednego z młodych sąsiadów, przynoszący list ze 100 rublami, jako pożyczkę w tak krytycznej chwili, pretensya komornika została zaspokojona i licytacya nie odbyła się. Mógłby kto pomyśléć, przeczytawszy powyższe słowa, że owym „panem" musi być jakiś człowiek wyjątkowy, gdy potrafił poruszyć twarde chłopskie serca i jeszcze twardszą kieszeń. Tak jednak nie jest. Ów obywatel do luminarzy wcale nie należy. Całą bowiem jego zasługą było to, że podczas swego kilkunastoletniego gospodarowania na roli, postępował ze swoimi ludźmi po przyjacielsku, nie traktował ich z góry, obchodził się z nimi uczciwie i sprawiedliwie, wynagradzał za pracę dobrze i sumiennie. Zdawałoby się, że tak postępuje i postępować powinien każdy z obywateli, choćby ze względu na swój interes własny. Widocznie jednak jest jakaś różnica, jakiś inny odcień w zachowaniu się jednego i drugiego obywatela, jeżeli jednego ratują chłopi od licytacyi, a drugiego podpalają... Chociaż ludzie ci będą mieli z dobrym procentem zwrócone swoje pieniądze, to wszakże nie zmniejsza doniosłości samego faktu. Ryzykować cały swój majątek, którym jest dla chłopa kilkadziesiąt rubli i oddawać go w ręce człowieka, który ze swemi własnemi długami uporać się nie jest w możności, jest to szczytnie i chwalebnie. Wypadek ten nie jest jedyny w kronikach naszego prowincyonalnego żywota i powinien nas utwierdzić w przekonaniu, że w chłopie, pod skorupą chłodu, egoizmu i ciemnoty, tkwią lepsze, altruistyczne pierwiastki, które ujawnić, utrwalić i spożytkować za pomocą starań o oświatę i dobrobyt ludu jest obowiązkiem każdego myślącego i dbającego o przyszłość swego społeczeństwa obywatela.

𝔖 **Żałoba dworska** w Berlinie trwać będzie przez trzy miesiące, a wielki mistrz ceremonii hr. Eulenburg ogłosił, iż damy dworu przez pierwsze sześć tygodni, do 19 Kwietnia włącznie, nosić mają czarne suknie wełniane pod szyję, rękawiczki czarne, duńskie i na głowie ubranko z czarnej krepy, w kształcie czółka śpiczastego, z dwoma welonami, długim, spadającym aż do ziemi z tyłu i krótszym z przodu dla zasłonięcia twarzy. W ciągu następnych sześciu tygodni, do 31 Maja włącznie, damy dworu winny nosić czarne suknie jedwabne jedwabne czółka na głowie bez welonów, czarne, rękawiczki glansowane, czarne wachlarze i czarną biżuteryę; w ciągu następnych trzech tygodni ubranie głowy winno być białe, rękawiczki białe lub jasno-szare, wachlarze białe i perły; dopiero w trzynastym tygodniu żałoby mogą damy dworu nosić kolorowe ubranie głowy, kolorowe wachlarze i klejnoty.

𝔖 **Najświetniejszą zabawą** w ciągu karnawału w Paryżu był bal, wydany przez milionera amerykańskiego Mackaya, w jego własnym pałacu. Bogacze nowego świata oddawna już zaćmili zbytkami przepych nababów wschodnich, przebywających czasowo w stolicy Francyi, ale rodzina Mackay prześcignęła w tym kierunku wszystkich. Pałac Mackaya wydawał mu się niedość obszernym na pomieszczenie wszystkich zaproszonych gości, jak nowy Aladyn przeto, z pomocą setek robotników kazał w przeciągu kilku nocy wznieść w ogrodzie swoim pałac do tańca; całe wnętrze pałacu lśni od złota i marmuru, a ściany salonów obite są ponsowym aksamitem i zawieszone zwierciadłami, posadzka zaś jest z najpyszniejszej mozajki. Na lukullusową iście wieczerzę, podaną gościom w tym czarodziejskim pałacu, złożyły się między innemi ptasie gniazda z Indyi, szynki z dzików w lasach węgierskich upolowannych, jesiotry z Rossyi i świeże poziomki ze wszystkich krajów południowych sprowadzone. Największe niespodzianki wszakże przyniósł kotylion po wieczerzy. Cukierki strzelające, zamiast zwykłych papierowych strojów, zawierały wspaniałe szale jedwabne, cenne koronkowe chustki do nosa i t. p., które w dodatku wszystkie zaopatrzone były prawdziwemi klejnotami, z cyzelowanym herbem amerykańskim. Sam ten mały figiel kotylionowy, kosztował p. Mackaya przeszło 150,000 fr., jego kopalnie srebra wszakże są podobno tak niewyczerpane; że mu na takie figle bez żadnego dlań uszczerbku pozwalają.

𝔖 **W Anglii** coraz więcej staje się zwyczajem stawiać nietylko kwiaty i rośliny na stole podczas jedzenia, lecz i dawać nadzwyczajne podarki z kwiatów, tak, że koszta wynoszą niekiedy ogromne kwoty po 100, 200 i 300 f. sz. Tak np. wynosiły koszta za kwiaty do większego obiadu, odbytego d. 5 b. m. w Londynie, 1,000 f. st. (10,000 rubli).

— Melduję jaśnie panu — odzywa się woźny do prezesa pewnej instytucyi — że dzisiejszej nocy umarł X. przy pomocy doktora i felczera i bez grosza w domu.

* * *

Proszę mi wierzyć, że codzień panią znajduję piękniejszą.

— Ah! jakiż z pana pochlebca!

— To niech będzie co drugi dzień, abym o przesadę nie został posądzony.

* * *

Przy wieczerzy wystawnej na raucie, podczas ożywionej rozmowy jeden z gości zwraca się do sąsiada i pyta:

— A pan czy lubi etnologią, o której tak ożywiona toczy się rozmowa?

— Lubię, bardzo lubię — odpowiada zapytany w prostocie ducha swego—tylko pożywana w zbytniej ilości niestrawność sprowadza.

* * *

Dzisiejszy cesarz niemiecki będąc jeszcze następcą tronu, raz odbywając podróż, wysiadł na jednej z pomniejszych stacyj. W dalszą drogę puszczono się w powozach. W pierwszym jechał oficer ordynansowy, w drugim książę. Ludność wiejska, nieświadoma rzeczy, witała pierwszy powóz głośnemi okrzykami „hura!" zbywając, naturalnie, obojętnem milczeniem drugi.

Gdy przyszło powracać na dworzec, rzekł żartobliwie do adjutanta, który niezasłużenie stał się przedmiotem głośnych owacyi:

— Kochany X.! teraz ja spróbuję pojechać naprzód, żebyś mi nie zabrał wszystkich łakoci owacyi.

Tymczasem objaśniono poczciwych chłopów, że byli w błędzie. Pouczeni więc, pomijali odtąd wytrwałem milczeniem powóz pierwszy, a cały krzykliwy entuzyazm swój poświęcili drugiemu.

Wysiadając, rzekł dostojny turysta do swego szczęśliwego towarzysza:

— No! to chyba musisz pan być do mnie podobnym, jak dwie krople wody.

Historyę zaręczyn swoich opowiadał w r. 1878 dzisiejszy cesarz Fryderyk deputacyi młodych, pięknych litwinek pruskich w sposób następujący:

Oczekiwały one w przedpokoju książęcego mieszkania. Książę przyjął ich w mundurze swojego pułku litewskiego, mówiąc:

— No, moje panienki, czemże mógłbym was zabawić... Wiem o tem, że jesteście ciekawe, jak

unsereiner (ktoś z naszych). Oprowadzę was przeto po moim domku... Oto moja pracownia, tam widzicie portrety mojej żony, tak wyglądała będąc jedenastoletniem dzieckiem, a tak, będąc narzeczoną... Ale, ale, czy wiecie, jak ja się zaręczyłem?... Prawdę mówiąc, zaręczyny nasze odbyły się na koniach... Moja żona jest wyborną amazonką, podobnie jak wy. Bo dziewczęta litewskie rywalizują podobno z mężczyznami w jeździe konnej, nieprawdaż?

Litwinki sponsowiały; jedna oglądała się trwożliwie na drugą, jak gdyby chodziło o przyznanie się do jakiegoś grzechu.

Wtedy wystąpiła jedna ze śmielszych i zaczerwieniona jak piwonia odrzekła:

— Nie, wasza cesarska mości, my nie umiemy jeździć na koniu.

Te słowa obudziły niezadowolenie u towarzyszek, z których wystąpiła teraz z kolei najśmielsza i oświadczyła:

— Ona kłamie! my wszystkie umiemy jeździć i gdyby najjaśniejszy pan nas powołał, to pokazałybyśmy lepiej od niejednego dragona, jak skroić kurtę nieprzyjacielowi.

Następca tronu uśmiechnął się, stanął obok rezolutnej amazonki, porównał jej wzrost ze swoim i rzekł:

— Jesteś prawie tak wysoką, jak ja. Z was byłby ładny regiment ułanów gwardyi, a ja sambym wami chętnie dowodził.

* * *

W pewnej szkole, profesor powiada:

— Czyste sumienie i zamiłowanie do pracy, są najpewniejszą rękojmią szczęścia ludzkiego. Jakże więc można znosić ubóstwo najłatwiej?

— Żeniąc się bogato — odpowiada jeden z chłopców i to najmłodszych.

RÓŻNE MYŚLI.

Kto z tajemnicy swej powie mi połowę, rzekł za wiele i za mało, obraża mnie i podejrzewa.

Voltaire.

PRZYJACIELA DZIECI

numer 12 wyszedł z druku i zawiera:

Pogadanki z botaniki. — Ałuszta (drzeworyt). — Do młodzieńca (wiersz). — Oj! te chłopaki, te chłopaki! (komedyjka).—Droga Via Appia (z drzeworytem). — Kaczka edredonowa (z drzeworytem). — Czyny nauczające. — Opowiadanie prawdziwe. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Zosia (z drzeworytem). — W schowanego (wiersz). Zakucznik. — Śniadanie (wiersz). — Odpowiedzi. Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

OD REDAKCYI.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, przypominamy zatem Szanownym Prenumeratorom, że czas już jest ponowić prenumeratę.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. Na prowincyi z przesyłką pocztową: kwartalnie rs. 2 kop. 50; półrocznie rs. 5; rocznie rs. 10.

PRZYJACIEL DZIECI.

Pismo illustrowane dla młodzieży i małej dziatwy,

wychodzić będzie i w kwartale przyszłym pod temi samemi co dotąd warunkami.

Cena prenumeraty wynosi: W Warszawie Kwartalnie rs. **1**. Na prowincyi z przesyłką pocztową: Kwartalnie rs. **1** kop. **25**. Półrocznie rs. **2** kop. **50**. Rocznie rs. **5**.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica Chmielna Nr. 26 nowy.

TREŚĆ: Poezye Maryi Konopnickiej.—Fragment (wiersz). — Nie utonął, nowella, napisała Zbigniewa Zmorska (dalszy ciąg). — Stowarzyszenie natychmiastowej pomocy lekarskiej.—Don Gesualdo, nowella Ouidy. — Odczyty. — Wiadomości z różnych stron. W Dodatku: Sprawa familijna (ark. 15).

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Марта 1888 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.